

Wspomnienia Sabiny Kicińskiej



Nazywam się Kicińska Sabina z domu Kulesza. Urodziłam się 23 grudnia 1929 roku we wsi Radowicze, gmina Turzysk, pow. Kowel, woj. wołyńskie.

Moi rodzice pochodzili z Zasmyk. Dokładnie nie pamiętam w którym roku tato sprzedał tam całą gospodarkę w 1920 czy w 1922 i kupił w Radowiczach. W tym samym czasie kupił stryj Rak – tata brat (tylko po matce), z drugiej strony mieszkał Pawlisz (mojej mamy siostra). Były tylko te trzy rodziny polskie na tej kolonii. Były jeszcze trzy rodziny ukraińskie, którzy razem nabyli grunty. Grunty były kupione od pana Sumowskiego czy Szumowskiego dziedzica, tego dobrze nie pamiętam. Jeden z tych sąsiadów to był ten pan Laszko. Dodam że, pan Laszko ostrzegł mego tata, bo gdy wracał do swojego domu mijał się z banderowcami, których dowódcą był jego rodzony syn. Gdy przyjechali do nas i nie zastali już nikogo, wszystko było jasne – ojciec ostrzegł Polaków. Syn wraca do domu i z wściekłości, że nie mógł nas wymordować, chciał zastrzelić rodzonego ojca. Lecz jego kumple nie dopuścili do tego. Tak opowiadał wnuk pana Laszko od drugiego syna.

Jeżeli chodzi o członków rodzin naszych sąsiadów, to zacznę od stryja. Rodzina składała się z pięciu osób – rodzice i troje dzieci. Najstarszy syn Józef – lat 19, córka Sabina – lat 13. Syn był w samoobronie, potem brał udział w bitwie w Rymaczach i tam zginął.

Gdy zaczęła się wojna miałam 10 lat i bardzo dobrze pamiętam, że nasi sąsiedzi to byli przeważnie Ukraińcy, z którymi żyliśmy w najlepszej zgodzie, a nawet w przyjaźni. Nigdy nie było najmniejszej kłótni. A co potem się stało? Gdy Niemiec napadł na Polskę, a z drugiej strony napadli sowieci i rozdarli Polskę na dwie części. Naszą część kraju zajęli sowieci. I zraz zaczęli robić czystkę z polakami. Najpierw mordowali policjantów, urzędników, nauczycieli, a jak tych zabrakło, wzięli się za rolników. Co bogatszy gospodarz to był dla nich kułak. Ale tylko Polaków, Ukraińców nie zaczepiali.

Mego ojca też wpisali na listę kułaków i był wyznaczony z całą rodziną do wywiezienia na sybir. Pamiętam raz byliśmy w kościele w Turzysku i tam jedna znajoma mojej mamy powiedziała, że tej nocy mają nas wywieźć na sybir. Mama strasznie się zmartwiła. Gdy przyjechaliśmy do domu, zastaliśmy kilka Ukrainek – przyszły do nas, żeby im dać krowy i świnię bo nam to już niepotrzebne, bo nas wywiozą na sybir. Mama się rozplakała i

powiedziała im „dobrowolnie swojej uczciwej pracy nie oddam, jak nas wywiozą wtedy niech się co chce dzieje”. Ale nas nie mieli wywieźć w tym dniu co Niemiec napadł na Sowietów (22.06.1941 r.) i sami uciekali tym transportem. Gdy przyszedł drugi okupant, czyli Niemiec, początkowo odetchnęliśmy z ulgą. Przestaliśmy się bać Sybiru, lecz najgorsze było przed nami.

Nadszedł rok 1943, rok wielkiej pożogi i przelewu polskiej niewinnej krwi. Za namową Niemców, Ukraińcy zaczęli mordować Polaków. Początkowo pojedynczo, tzn. wojskowych, bardziej oświeconych, jednym słowem takich, których się bali, takich którzy mogli pokierować samoobroną. Między sąsiadami stosunki zaczęły się psuć.

Pamiętam u nas był zwyczaj zapraszania dziewczyn do darcia piór, czyli tak zwane „pierzaki”. Moja mama zaprosiła dziewczęta na te pierzaki, a że sąsiadów mieliśmy Ukraińców, to przyszły ukraińskie dziewczęta a wraz z nimi przyszli chłopcy. I zaśpiewali taką piosenkę, pamiętam tylko refren: „Smert lachom, smert żydowsko-mosokowskiej komunie”. Mama zaczęła ich wstydzić, mówiła „co złego wam Polak zrobił”, zaczęła płakać. Oni na to nic nie odpowiedzieli, tylko zaraz uciekli. Mama jeszcze tej nocy ciężko zachorowała i w krótkim czasie zmarła.

W naszej wiosce pierwsi zginęli Leśniewscy, ojciec i dwóch synów. Był to kwiecień 1944 roku. Po tym wydarzeniu coraz częściej słyszało się, że to tu, to tam ginęli Polacy. Najpierw pojedynczo, potem całymi rodzinami. Aż nagle dotarła do nas wiadomość o napadzie na kościół w Kisielinie i innych miejscowościach oraz o wymordowaniu Dominopola. Tam mieszkała moja mama z czwórką dzieci – zginęli wszyscy. Z całej wioski liczącej około 500 osób, prawdopodobnie ocalało tylko pięć osób. Z jednym ocalałym rozmawiałam, miał siedem ran kłutych. Nocą wydostał się z pod trupów i doczołgał do lasu. Lasem doszedł do Zasmuk a potem do szpitala w Kowlu i tak się uratował.

Po wymordowaniu Dominopola, kilka rodzin z Radowicz wyjechało do Zasmuk i od razu utworzyli samoobronę. Jednak większa część Polaków pozostała w Radowiczach. Między innymi zostaliśmy i my koloniści, czyli stryj Rak, wujek Pawlisz i my. Jeszcze nie daleko nas, ale należące do innej wioski, dwie rodziny polskie: Dzieciołów i Babiarzów. Byliśmy otoczeni zwartym pierścieniem Ukraińców w większej części wrogo nastawionych do Polaków. Niewiadomo co robić, uciekać – gdzie?, siedzieć i czekać – na co?. I tak mijał czas w trwodze i niepewności jutra. I tak przeżyliśmy do końca sierpnia. Wtedy zaczęła się masowa rzeź Polaków. Pamiętam przyjechała z siostrą z dziećmi, która mieszkała w Wierzbicznie - i z płaczem, że Ukraińcy napadli na Wierzbiano i mordują Polaków.

Tego dnia pod wieczór przyszedł brat chłopca który paś nasze bydło (a był to Ukrainiec) i powiedział mu ażeby u nas nie nocował. Ten przygnał krowy z pastwiska i idzie do domu, choć zawsze u nas nocował. Mój brat pyta „dlaczego idziesz do domu ?” a on początkowo nie chciał mówić, ale jak brat zaczął go prosić, rozplakał się i powiedział, że jego brat Piotr powiedział żeby u nas nie nocował bo tu jest niebezpiecznie. Wszystko było jasne, topór wisiał nad naszymi głowami. Z miejsca ruszyć się nie można, bo wszędzie czyha wróg. Od tej chwili nie nocowaliśmy w domu. I tak minęło jeszcze dwa dni i trzy noce. Ta trzecia noc była straszna – strzelanina i pożary. Nikt z nas oka nie zmrużył. Rano gdy wszystko ucichło, wróciliśmy do domu ażeby coś przyrzędzić do jedzenia.

Ten chłopak co paś u nas bydło przyleciał z pastwiska z krzykiem: „uciekajcie bo już Wiśniewskich wymordowali”. Wiśniewscy mieszkali od nas około jednego kilometra. Z naszego pastwiska było dobrze widać ich zabudowania, on wszystko widział. Nie było czasu do namysłu, czym prędzej konie do wozu, pościel na wóz i szybko do lasu.

Tato mój nie chciał nigdzie uciekać - mówił, że woli zginąć na swojej pracy niż jechać w nieznane na poniewierkę. W naszym lesie już były dwie rodziny: Dzieciołów i Babiarzów. Pan Dziecioł przypomniał sobie, że ma schowany pistolet, więc zostawia rodzinę i wraca po ten pistolet. Niewiadomo co robić, trzeba uciekać dalej. Żona Dziecioła zaczęła prosić mojego

brata ażeby poszedł po jej męża. Brat patrząc na jej ból nie umiał odmówić i poszedł po jej męża.

W tym czasie zrobił się wielki chaos. Zaczę od tego, że chłopcy z samoobrony z Zasmyk szli do Wierzbiczna i Osiecznika z odsieczą swym rodzinom. Syn i zięć Brzezickich też byli w tym oddziale, więc wysłali posłańca do swoich rodziców ażeby uciekali do Zasmyk, bo to już ostatnia chwila do wykorzystania. Wiadomość tą przekazano także nam. Czas nagli, trzeba uciekać, a nie ma pana Dziećcioła i mojego brata. Waclawa i tato został w domu. Furmanki odjechały do lasu i tam oczekują. W tym czasie do mojego tata przyszedł sąsiad Laszko i zaczął prosić ażeby tato uciekał i to już, bo zginie okrutnie. Tato poszedł do naszego lasu, tam gdzie my wszyscy wpiery uciekliśmy. Wreszcie jesteśmy wszyscy, jedziemy jak najszybciej. Po drodze zajeżdżamy do Brzezickich, zabieramy ich i uciekamy nieznanymi nam drogami. O ucieczce przez las nie było mowy, bo lesie tym dużo Polaków z Radowicz zginęło. Jedziemy przez wioski ukraińskie, pan Dziećcioł pyta o drogę o drogę do Zasmyk, a oni ni tak, ni tak,. Wtedy pan Dziećcioł zaklął strasznie i wymierzył pistolet w ich stronę, a oni wtedy składają ręce i mówią „tudoju panoczku tudoju”. Wreszcie dojeżdżamy do upragnionych Zasmyk. Zamieszkaliśmy u wujka, brata mojej mamy.

Kto w tym dniu nie uciekł, został tam na zawsze. Ukraińcy w nocy wymordowali wszystkich Polaków w Radowiczach. Dokładnie nie wiem, ale słyszałam, że około 60 osób. My na razie byliśmy uratowani, bo w Zasmykach była placówka samoobrony zorganizowana po wymordowaniu Dominopola, napadu na kościół w Kisielinie i masowych morderstwach dokonywanych na ludności polskiej.

Ukraińcy planowali napad na Zasmyki. Do Radowicz ze wszystkich stron UPA ściągala rezunów, były to ogromne siły. I wtedy Niemcy nic o tym nie wiedząc, jechali do Radowicz za kontyngentem, Ukraińcy zaczęli do nich strzelać. Wywiązała się walka między Niemcami i Ukraińcami. Niemcy wycofali się do Kowla. Na drugi dzień Niemcy pojechali pancernymi samochodami z duża ilością wojska a także były samoloty i rozbili tą bandę. Było dużo zabitych, a reszta uciekła do lasu. I tak Niemcy nic nie wiedząc, dużo pomogli Polakom. A Ukraińcy myśleli, że Niemcy celowo przyszli Polakom z pomocą. Po ty wydarzeniu Polacy którzy ukryli się w Zasmykach zaczęli jeździć do Radowicz na swoje gospodarstwa ażeby choc ziemniaków nakopać i trochę zboża namłócić bo jeść się chciało a nie było co. Brat Waclaw był już w samoobronie, przyszedł do nas i mówi ażeby jechać też do naszego domu, może coś ocalało, to się zabierze. Więc pojechali. Tato i obaj bracia wieczorem wrócili zadowoleni, bo choć dom i budynki Ukraińcy szabrowali doszczętnie, to ten sąsiad co tata ostrzegł, jak się dowiedział, że tato przyjechał, przyszedł i powiedział żeby jechać do niego, bo on wziął nasze trzy świnie. Brał z tą myślą, że jeżeli to będzie możliwe to nam odda. I tak się stało – przywieźli te trzy świnie, namłócili trochę zboża i nakopali ziemniaków.

Zachęceni tym na drugi dzień znowu pojechaliśmy, tym razem i ja pojechałam. Tato i starszy brat młócili zboże a ja z młodszym bratem kopaliśmy ziemniaki. Przed wieczorem tato i młodszy brat pojechali do Zasmyk, a ja ze starszym bratem zostałam w naszych budynkach. Była to straszna noc. Całą noc nie spałam. Rano było cicho i spokojne, więc wyszliśmy z kryjówki i wzięliśmy się do pracy kopaliśmy ziemniaki.

Koło południa przyjechał tato z bratem, wujkiem i panem Pałką (także mieszkał u wujka, a uciekł z pod ukraińskiej siekiery z Kisielina). Przyjechali na dwa wozy.

I tu mieliśmy szczęście, że konie z wozu nie wykładano, tylko dali jeść przy wozie i już zaczęli młócić. Starszy brat poszedł po nasz pług do jednego z Ukraińców a ja z młodszym bratem wzięliśmy się do gotowania obiadu, a że, w mieszkaniu piece były zrujnowane przez Ukraińców, zrobiliśmy prowizoryczną kuchnię na dworze od strony lasu, i to nas uratowało. W pewnym momencie zobaczyliśmy jak od lasu pędzi zgraja rezunów. Z krzykiem wpadliśmy na podwórze, że Ukraińcy lecą. Wskoczyliśmy na wozy i co koń wyskoczy

zaczęliśmy uciekać. Ilu ich było – nie wiem dokładnie. Ale widziałam, że lecieli tyralierą w odległości około 100 metrów i strzelali do nas z karabinów. Jechaliśmy równolegle do tyraliery bo tak biegła droga, a potem zakręt, myślałam aby do zakrętu to będziemy się od nich oddalać. Wtedy widzę, że naprzeciw nas leci dwóch „rezunów”. Okropne myśli bieżą mi po głowie, już nas mają. Proszę mi wierzyć, pomimo, że byłam dzieckiem, śmierci się nie bałam – bałam się okropnie ażeby nas żywych nie złapali, bo wiedziałam co robią z Polakami jak żywy im w ręce wpadnie. Jeden z rezunów już chciał złapać za lejce, ale wujek raptownie skręcił w bok. Drugi widząc, że uciekniemy – rzucił granat w naszą stronę, lecz granat rozerwał się za wozem nie czyniąc nam krzywdy. Zaczęli też strzelać za nami, ale wszystkie kule były niecelne. Już się od nich oddaliśmy. W tym momencie patrzę gdzie jest druga furmanka. Tato widząc co się dzieje nie jedzie za nami, tylko na przełaj przez pola, ale banda i to przewidziała i zrobiła zasadzkę. Po chwili i tam granaty zaczęły wybuchać. Dym i kurz zakryły cały widok, straciłam ich z oczu. Myślałam, że już zginęli. Gdy wyjechaliśmy na wzgórze zobaczyłam, że przez łąki jedzie furmanka. Spotkaliśmy się we wsi, bo jak pisałam na początku mieszkaliśmy na kolonii oddalonej od wioski około 5 km Nasza wieś była bardzo duża.

We wsi był sztab niemiecki i wpuszczali tylko z przepustką. Gdy dojechaliśmy do sztabu wyszedł wartownik z tłumaczem i wszystko wypytywał. Opowiedzieliśmy im wszystko. A ja strasznie płakałam, bo starszy brat został tam, ponieważ poszedł po ten nieszczęsny pług. Więc myślałam, że już go zamordowali.

Niemcy coś między sobą poszwargotali i tłumacz nam powiedział, że teraz tam pójdzie wojsko. Wysłali 50 żołnierzy dobrze uzbrojonych i choć brat już przyszedł, to Niemcy powiedzieli, że jeśli chcemy to oni tam pójdą. I poszli, tato i brat też pojechali zabrać namłócone zboże i ziemniaki. Ja już więcej nie widziałam swego domu rodzinnego. A dzisiaj w tym miejscu rośnie tylko jedna lipa. Mieliśmy piękny sad, pasiekę, 5 hektarów lasu, piękne budynki – wszystko zniszczyli.

Po tym pogromie, wróciliśmy do Zasmyk i jakiś czas było dość spokojnie u nas. W innych miejscowościach w dalszym ciągu ginęli Polacy. W pobliżu Zasmyk było kilka wsi polskich. W kierunku Kowla była Janówka, Stanisławówka, Radomle i Lublatyn i na te wioski, od strony Kowla w dniu 25 grudnia 1943 r. napadli rezuny w niemieckim przebraniu i wymordowali przeszło 40 osób. Spalili bardzo dużo budynków. Drugi napad był na Zasmyki. 19 stycznia 1944 r. w godzinach rannych napadli i zabili 7 osób i dużą część Zasmyk spalili.

Ukraińcy napadali w dalszym ciągu, palili i mordowali Polaków. Nie mieliśmy co jeść i gdzie spać, do tego doszły różne choroby, jak tyfus, egzema, krwawa dyzenteria. Ciężko chorowałam, nie było ani lekarza, ani leków, tylko cierpienie i lęk.

W kwietniu 1944 r. już przyszli sowievi znów do nas i zaczęli mobilizować do wojska. Nasi obrońcy na rozkaz odgórny musieli nas opuścić, przejść przez Bug i iść w kierunku Warszawy, kto nie poszedł w tym kierunku zabierali do wojska.

Zostaliśmy sami - kobiety, dzieci i starcy. I znów strach przed rezunami, bo choć ich brali do wojska, to i tak było ich pełno w lasach. Front był w tym czasie w Kowlu. Byliśmy około 16 km od frontu. Sowievi zaczęli nas wypędzać od frontu, mówią „tut nilzja, tut front, ujeżdżaj 15 km”. Jedziemy 15 km i tak nas pędzą coraz dalej. Już myśleliśmy, że nas pędza do Rosji. Dojechaliśmy do wojska polskiego i tam w lesie przesiedzieliśmy do 22 lipca 1944 r, gdy front się załamał wojsko poszło z frontem a my znów pojechaliśmy do Zasmyk. Nie było gdzie mieszkać bo budynki spalone, nie było nas komu bronić przed Ukraińcami. Co robić dalej? Jeszcze bardziej nie byliśmy pewni jutra.

W tym czasie przyszedł do nas sąsiad pan Zamościński, który miał radio i słuchał wiadomości z zagranicy i dowiedział się, że granica Polski będzie na Bugu i nie mamy tu na co czekać. Ludzie masowo uciekali. Umówili się i kilka rodzin ruszało szukać szczęścia w

kochanej Ojczyźnie. Przyjechaliśmy do Uściługa o jeden dzień za późno, granica zamknięta. Zebrało się dużo rodzin i nie wiemy co dalej robić. Niektórzy wracali a niektórzy przekupili sowietów i pod pozorem, że brali na forszpan, kładli różne swoje rzeczy na wozie i w ten sposób przewozili przez most na Bugu. Gorzej z bydłem i dziećmiakami. Brat mój, ja i starsza siostra stryjeczna, też w moim wieku wzięliśmy krowę i poszliśmy we wskazanym kierunku. Trzeba było iść 7 km wzdłuż lasu minąć tartak i wtedy biec ile sił w nogach w kierunku Horodła. A przecież na moście w Horodle była warta, gdyby nas zauważyli na pewno by zabili. Ale zanim doszliśmy do tartaku, najechali na nas Ukraińcy uzbrojeni i pijani. Pytają nas dokąd idziemy? Na szczęście ktoś nam tłumaczył, że gdyby nas pytano mamy mówić „na Czerniawku” i to nas uratowało. Uwierzyli, kazali nam iść przez las, to będzie bliżej. Poszliśmy we wskazanym kierunku aby nie wzbudzać podejrzeń, że jesteśmy Polakami – bo śmierć. Gdy tylko odjechali, wróciliśmy na swoją drogę i z duszą na ramieniu, co sił w nogach pędziliśmy do przodu. Mijamy tartak, biegniemy w kierunku Horodła. Dobiegamy do rzeki a tam już czekał na nas przewodnik. Nareszcie jesteśmy między swoimi, uszczęśliwieni, lecz nie długo. Szybko zrozumieliśmy, że i tu nie ma miejsca dla nas. Po kilkudniowej tułaczce, dojeżdżamy do Grabowca w woj. lubelskim, gdzie mieszkamy do dnia dzisiejszego. I tu duża część osób traktowała nas jako dziadów zza Bugu. Lecz gdzie mieliśmy się podziać. Był już wrzesień, zbliżała się zima a my nie mieliśmy gdzie mieszkać ani co jeść. W Grabowcu było puste mieszkanie Kalinowskich, którzy byli wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec. Więc za zgodą rodziców p. Kalinowskiej, zamieszkaliśmy tam. Trzeba było za to zorać im wszystko pole. Chodziliśmy do ludzi kopać ziemniaki, pamiętam, że dawali nam pół metra ziemniaków za dzień kopania. Mężczyźni pracowali końmi w polu, zarabiając słomę i ziarno. I tak przeżyliśmy do końca wojny. W maju 1945 r. po ogłoszeniu zwycięstwa i zakończenia wojny, stryj pojechał na ziemię odzyskane, lecz tato nie chciał jechać bo wciąż miał nadzieję, że wróci na swoją gospodarkę. Żałowałam tego bardzo, że nie wyjechałam, tam byli ludzie tacy jak my i jeden drugiego rozumiał i współczuł. A tu stale czułam się upokorzona, bo niejedną raz usłyszałam, „paszła won za Bug” ach jak to bolało. Tam nie ma miejsca dla ciebie a w Ojczyźnie też nie masz miejsca. Dostał tato niewielką gospodarkę w zamian za mienie pozostawione za Bugiem. Mieliśmy już gdzie mieszkać i kawałek pola, lecz w 1948 r. wybuchł pożar w Grabowcu i wszystkie budynki się spaliły. Ludzie miejscowi podostawali odszkodowania, lecz mój tato nie dostał - powiedzieli, że nie mamy prawa do odszkodowania bo to poukraińskie. Tato mój był tak tym wszystkim przygnębiony, że dał za wygraną. I jeszcze jeden przykład jak nas tu władza traktowała. Gdy wyszłam za męża, tato dał mi dwa hektary ziemi, lecz w gminie uznali to jako państwowy fundusz ziemi. Miałam do wyboru albo kupić od państwa, albo ustąpić z pola. Cóż było robić, trzeba kupić od państwa swoją ziemię.

Tato żył na wygnaniu dwadzieścia lat, tyle lat upokorzenia. Był gospodarzem na 35 hektarach ziemi, miał piękne zabudowania, piękny sad, pasiekę – a tu był dziadem do końca.

Nasza rodzina – jak już pisałam, tato i dwóch braci Waclaw lat 20, Józef lat 15 i ja lat 13. Brat Waclaw jak tylko przyjechaliśmy do Zasmuk wstąpił do samoobrony, walczył z bandami ukraińskimi, był ranny. W kwietniu gdy cała dywizja miała przekroczyć Bug, zostali okrążeni przez Niemców w lasach musurskich. Dużo żołnierzy tam zginęło, tylko część przedostała się przez Bug. Brat mój i wielu innych byli w tych lasach od kwietnia aż do 22 lipca 1944 roku gdy front przeszedł przez Bug wyszli wszyscy z lasu, lecz od razu zabrali ich do armii Berlinga. Brat był na froncie, przeżył wojnę i wrócił do nas, lecz w 1963 roku wyjechał. Był w województwie wrocławskim, zmarł w 1995 roku. Brat Józef 1948 roku poszedł do czynnej służby wojskowej i został na zawodowego żołnierza. Mieszkał z rodziną w Cieszynie, zmarł w lutym 1999 roku. Moja siostra i ja mieszkamy w Grabowcu.

Nic już nie rozumiem, jak nieraz oglądam telewizję i słyszę jaka to krzywda się stała Ukraińcom (Akcja Wisła) - to płaczę. Im się krzywda stała, bo im dali tyle fur ile potrzeba było do załadowania wszystkiego. Odwieźli do stacji kolejowej, zawieźli na wszystko gotowe, jeszcze dali bezzwrotną pożyczkę, i im krzywda. Kuroń im współczuł, Kwaśniewski przepraszał, a nas nikt nie przeprosza, za mało nas wymordowali. Nie pozwolą odkryć te zbiorowe mogiły, niech świat się dowie, że setkami trupów a i na wpół żywych grzebano w jednym dole.

To co opisałam to nie fantazja, tylko to są fakty. Jeśli ktoś kiedyś będzie czytał o moich przeżyciach, może wątpić czy tak było naprawdę. A jest to najświętsza prawda. Wierzę w to, że Bóg nas ochronił. Bo na tyle co do nas strzelali, wszystkie strzały i granaty były niecelne. Nie zdołali nas zabić ani zranić ciała, ale dusza jest zraniona do końca życia. Ta rana nigdy się nie zagoi. A tym bardziej boli, że wiele się mówi o tragedii Żydów, o krzywdzie wyrządzonej Ukraińcom (Akcja Wisła) a nawet o wypędzeniu ludności niemieckiej. Lecz nigdy się nie wspomina o tragedii Polaków, szczególnie na Wołyniu.

O Panie nie zapomnij o tych niewinnych ofiarach, którzy zginęli najczęściej w okrutnych męczarniach, a na ich mogiłach najczęściej Ukraińcy sieją zboże i pasą bydło, a kości poniewierają się po polach, łąkach i lasach. Dlaczego o tym nic się nie mówi? Ciągłe zadają to pytanie sobie i innym. Lecz na to pytanie wciąż brak odpowiedzi.